



# Teraz My! 19

1/2004

Pismo promujące twórczość uczniów  
XXI Liceum Ogólnokształcącego  
im. Hugona Kołłątaja

## Wracam

Grzegorz Ciesielski, kl. 2c

Zimno. Co za przejmujące zimno. Przenika mnie do kości i choć skulony szczelnie się okryłem, ten ziąb sprawia, że myśli mi się płaczą.

Co ja tu robię? Kim ja właściwie jestem? Czy człowiek może tak żyć? Dzisiaj kończę sześćdziesiąt lat. Ale tortu na pewno nie będzie.

Ani świeczek. Widzę pod powiekami ich blask. A wokół ukochane twarze. Wychowałem się w zamożnej rodzinie. Byłem jedynakiem. We wczesnym dzieciństwie, gdy tata leczył ludzi, mama zajmowała się domem i spędzała ze mną mnóstwo czasu. Bardzo dużo rozmawialiśmy ze sobą. Mogłem jej o wszystkim powiedzieć. Była moją najlepszą przyjaciółką. Kochałem ją. Ojciec chciał, abym również został lekarzem, lecz ja miałem inne plany.

Choć nie byłem dobrym uczniem, matura poszła mi dobrze. Nadszedł czas wojska. Ojciec był ze mnie dumny, ale mama strasznie płakała. Trudno jej było rozstawać się z jedynakiem. Staralem się ją często odwiedzać, ale kiedyś, gdy wyszedłem na przepustkę, poznałem wspaniałą dziewczynę i to z nią spędzałem teraz każdą wolną chwilę.

Po wojsku wzięliśmy ślub. Na prośbę mamy zamieszkaliśmy z moimi rodzicami w pięknym, piętrowym domu pod Warszawą. Pewnego razu moi rodzice pojechali w odwiedziny. Na Alei Krakowskiej mieli wypadek. Oboje zginęli.

Rok później urodził mi się syn, a po kilku latach — córka. Dni, w których moje dzieci przyszły na świat, były najszczęśliwszymi w moim życiu. Obiecałem sobie, że zrobię wszystko, aby miały wspaniałe dzieciństwo. Oboje ciężko pracowaliśmy. Naszej rodzinie niczego nie brakowało. Po latach nadeszły jednak trudne chwile. Okazało się, że żona ma raka płuc.

### W tym numerze

**Teraz My!**  
Numer dziewiętnasty, rok czwarty  
**Opieka dydaktyczna i pedagogiczna:**  
Grażyna Róziwicz  
**Opieka edytorska:**  
Aleksandra Wróblewska  
**Adres internetowy:**  
<http://liceum21.ids.waw.pl/gazeta.htm>

<b>Grzegorz Ciesielski</b> <i>Wracam</i> . . . . .	1
<b>Krzysztof Dziąg</b> <i>Żal rozrzutnika</i> . . . . .	3
<b>Piotr Karpiński</b> <i>Korespondencja z Pekinu</i> . . . . .	6
<b>Łukasz Kaczmarczyk</b> <i>Już tylko wanna</i> . . . . .	7

Lekarze powiedzieli, że to postać nieuleczalna, ale nie chciałem się z tym pogodzić. Zaczęliśmy walczyć o życie.

Od tamtej pory spędzałem po kilkanaście godzin w pracy. Choroba jednak powoli postępowała. Postanowiłem sprzedać dom, by opłacić nową, drogą kurację. I wówczas — moje dorosłe już dzieci — zamiast mnie wspierać, opuściły nas. Chyba tak naprawdę nigdy nas nie kochały.

Operacja nie powiodła się i wkrótce pochowałem żonę. Zamieszkałem samotnie w jednym ze starych bloków warszawskich. Czas mijał. Coraz trudniej było o pracę. Latami żyłem w lęku, że ją stracę. Aż nadszedł taki dzień, kiedy nie mogłem już zasnąć. Przy moim łóżku była mała szafeczka, na niej leżał mój portfel.

Pieniędzy starczyć mi mogło na dwa bochenki chleba. Wstałem z łóżka i wsunąwszy nogi w zniszczone buty, podszedłem do okna. Całe niebo zachmurzone. Zanosiło się na deszcz. Ulice już od samego rana obłożone przez samochody.

Wszedłem do łazienki, stanąłem przed lustrem. Nie poznawałem siebie. Kiedyś przystojny, wysoki i dobrze zbudowany, ciemnowłosy mężczyzna. Teraz stał przede mną nieco przygarbiony człowiek z siwymi włosami i pomarszczoną skórą.

Było mi zimno, więc włożyłem na siebie wszystko, co miałem. Nie było tego wiele. Dwie pary skarpet, kalesony, wysłużone spodnie, przetarta koszulka z długim rękawkiem, sweter, który zrobiła mi żona, stara marynarka, czapka i bielizna.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od mojego domu był sklep, w którym mogłem kupić pieczywo. Powoli schodziłem po schodach, mocno trzymając się poręczy. Na dworze było rzeczywiście zimno. Wróciłem z chlebem do domu, usiadłem na krześle i patrząc na tłum warszawiaków pędzących ulicą, zacząłem go jeść. Nigdy jeszcze chleb nie wydawał mi się taki smaczny.

I wtedy usłyszałem to pukanie. To był właściciel bloku. Dobrze wiedzieliśmy, o co chodzi. Patrzył na mnie z politowaniem, lecz i tak nie dało się go ubłagać. Wziąłem portmonetkę z paroma groszami i chleb do siatki i zamknąłem za sobą drzwi.

Nie wiedziałem dokąd iść. Nie chciałem niczyjej jałmużny. Przecież jestem dumnym człowiekiem, mam swój honor. Dotarłem na jedną z ruchliwszych ulic. Pojawiło się chyba we mnie coś, co sprawiało, że ludzie patrzyli na mnie z politowaniem i ze strachem zarazem. Omijali mnie.

Znowu się rozpadało. Szedłem już bardzo długo i zaczynał mnie boleć kręgosłup. Lunęło. Ulice opustoszały i tylko czasami przemykała szybko jakaś postać z rozłożonym parasolem. Przemokłem na wskroś. Było mi zimno. Nie miałem już sił powłóczyć nogami.

Nagle w ulevie dostrzegłem niewyraźny zarys sylwetki mostu. Tu, pod mostem, było sucho. Leżały jakieś śmieci. Zacząłem je przerzucać. Udało mi się. Znalazłem dziurawy sweter, przybrudzone dresy i koc w całkiem dobrym stanie. Zdjąłem przemoczzone rzeczy i ubrałem się w te „nowe”. Szczelnie otuliłem się kocem. Ciemno. Deszcz wciąż pada. Od rzeki zerwał się wiatr. Wtuliłem się w stare gazety, aby się ogrzać, ale to nie pomogło.

Jest mi bardzo zimno. Widzę w światłach pobliskich latarni ulicznych swój parujący oddech. Na próżno staram się zasnąć. Przenikają mnie dreszcze.

Ojcie Nasz... Zdrowaś Maryjo... Wierzę w Boga... Ojcie Nasz... Nie czuję już zimna... Widzę jasne światło... Jak pięknie. Jakaś młoda kobieta

tańczy na łące pełnej barwnych kwiatów. To moja żona. Słońce świeci na bezchmurnym niebie. Z oddali zbliżają się jacyś ludzie. Mamo! Tato!

I nagle budzę się! Ale teraz czuję spokój..... Nie obawiam się już niczego... Powoli znowu zamykam oczy... Wracam...

## Żal rozrzutnika

Krzysztof Dziąg, kl. 4a

*Kochanek, druhów, ileż was spotkałem,  
Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało,  
Ileż to rączek tonąc uściskałem:  
A serce nigdy z sercem nie gadało!  
Wylałem wiele z serca, jak ze skrzyni  
Młody rozrzutnik! lecz dłużnicy moi  
Nic nie oddali. Któż dzisiaj obwini,  
Że się rozrzutnik spostrzegł, że się boi  
Zwierać w niepewne i w nieznanne rece?  
Żegnam was, żegnam nadobne dziewice;  
Żegnam was, żegnam, o druhy młodzieńce!  
Rozrzutnik młody, resztę skarbu schwycę,  
W ziemię zakopie; nie czas resztę tracić.  
Już czuję starość: mam zebrać w potrzebie?  
Znalazłem tego, co zdoła zapłacić  
Rzetelnie, z lichwa i na czas - On w niebie!...*

*Adam Mickiewicz „Żal rozrzutnika”*

Jak kochać? Jak żyć, by starość nie zaskoczyła nas w samotności? Czy człowiek w ogóle jest w stanie zaznać szczęścia, w kontakcie z innymi ludźmi? I co zrobić, gdy mimo wszystko nie znajdzie się tej jedynej bliźniaczej duszy?

Są to pytania, które pojawiły się we mnie po przeczytaniu wiersza Adama Mickiewicza pod tytułem „Żal rozrzutnika”. Nie wiem, kiedy utwór ów został napisany. Jednak przypatrując się jego konstrukcji i nastrojowi łatwo zauważyć, że musiał być stworzony przez Mickiewicza po 1829 roku, czyli w jego „wieku męskim — wieku klęski”.

Kompozycja utworu jest co najmniej dwuznaczna. Zwarta i harmonijna budowa wydaje się być wyrazem pewności, spokojnego rozumowania i precyzyjnej obróbki wielkich, wolnych myśli. Z drugiej jednak strony liczne przerzutnie, pytania (które, jak dla mnie tylko z pozoru są retoryczne) wpływają na dynamizację wymowy utworu, sugerują silne uczucia: rozpacz, poczucie bezradności, lęk przed bezsenssem życia, pogardę dla własnej przeszłości.

Jedynie dwa ostatnie wersy wyłamują się z tej pesymistycznej atmosfery. Są pewnego rodzaju iluminacją, boskim darem dla umęczonej duszy, wskazującym drogę, w której należy upatrywać pociechy. Autor nie odpowiada jednak na pytanie, w jaki sposób należy ten ostatni krok postawić.

Podmiot liryczny przypomina typowego bohatera romantycznego. W swoim monologu ujawnia wiele cech upodabniających go do Wertera z powieści Johanna Wolfganga Goethe’go. Opowiada dzieje swej młodości. Mówi, że spędził ją na licznych miłostkach, przelotnych przyjaźniach. Wspomina z żalem, że te kontakty nie spełniły jego oczekiwań. Zarzuca

ludziom, że mimo iż obdarował ich hojnie, swoim największym skarbem („wydałem wiele z serca, jak ze skrzyni”), ci nigdy nie dali mu tego, na co czekał. A szukał jedynie zaspokojenia potrzeby bycia kochanym. Wierzył w istnienie swojej drugiej połowy i intensywnie jej wypatrywał.

Tymczasem teraz już widzi, że „tonął” w pustce powierzchownych znajomości. Zawiódłszy się na kontakcie z ludźmi, nie chce więcej ryzykować. Nie zamierza więcej szukać. Chce definitywnie zamknąć się na drugiego człowieka.

*Żegnam was żegnam, nadobne dziewice.  
Żegnam was żegnam, o druchy młodzieńce*

Zachowuje się tak, gdyż, jak sam przyznaje, zaczyna się bać. Boi się, że kiedy już wyda wszystko ze swego wnętrza, kiedy roztrwoni najlepsze uczucia, będzie musiał „zabrać w potrzebie” o miłość czy jakkolwiek oznakę zainteresowania. „Młody rozrzutnik” czuje starość, nie tyle fizyczną co psychiczną, przez co chyba bardziej niebezpieczną. Jedyne ratunek upatruje w wykorzystaniu reszty swego skarbu w kontakcie z Bogiem, po którym wreszcie oczekuje zapłaty za swoje poświęcenie i zaangażowanie. „[Zapłaty] rzetelnej, z lichwą i na czas.”

Muszę przyznać, że mam kilka zastrzeżeń, co do światopoglądu „ja” lirycznego. Szczerze wątpię, czy właściwą i skuteczną metodą, poszukiwania prawdziwej miłości jest nawiązywanie licznych intensywnych ale krótkich znajomości. Jestem raczej bliższy stwierdzeniu, że im częściej, tym płycej. Nic dziwnego zatem, że podmiot liryczny nigdy nie znalazł głębokiej miłości. Podejrzewam, że nawet gdyby mu się to udało, nie wiadomo czy potrafiłby ją odróżnić od chwilowych fascynacji i zauroczeń.

Drugą wątpliwość wzbudza we mnie koncepcja miłości prezentowana przez podmiot liryczny, zakładająca, że skoro on ofiarował komuś część siebie, to obdarowany automatycznie staje się dłużnikiem i winien jest jak najszybciej swój dług spłacić. Takie poglądy wydają mi się ujawniać porażający egoizm mówiącego. Przypomina to stwierdzenie: „Kocham cię, ponieważ ci potrzebuję.” Tymczasem prawdziwa miłość mówi: „Potrzebuję cię, ponieważ cię kocham.” Nic zatem dziwnego, że podmiot liryczny jest rozczarowany. To, że nie udało mu się nigdy „[sercem] z sercem gadać” nie jest winą innych ludzi; raczej jego własną. Mam wrażenie, że przyczyna wszystkich jego żalów tkwi w tym, iż nigdy nie umiał wyzwolić się od zakochania w sobie. Zawsze żądał czegoś od innych, nie umiał dać niczego z siebie nie licząc na zysk. Tymczasem, jak pisze święty Paweł w „Hymnie o miłości”, to bezinteresowność jest jednym z wyznaczników prawdziwej miłości: „Prawdziwa miłość nie szuka swego, Uraz nie pamięta.”

Kolejną bardzo poważną wątpliwość wzbudzają we mnie słowa:

*Resztę skarbu schwyć.  
W ziemi zakopię, nie czas resztę tracić.*

Wydaje mi się, że ten fragment stoi w wyraźnym konflikcie z kontekstem światopoglądu chrześcijańskiego. Przypomina mi to przypowieść o talentach z Ewangelii według św. Mateusza. Opowiada ona o trzech sługach, którzy otrzymali od swego Pana: pierwszy pięć talentów, drugi trzy, a trzeci jeden, każdy według zdolności swoich. Dwaj pierwsi puścili pieniądze w obieg i uzyskali zysk dwukrotny. Trzeci natomiast swój jedyny talent, zakopał w ziemi, obawiając się go utracić. Kiedy Pan przyjechał, by się z nimi rozliczyć, dwaj, którzy zaryzykowali i poszli ze swoim darem

do ludzi, zyskali w jego oczach szacunek. Pan dał im władzę nad rzeczami wielkimi. Sługa, który bał się i zakopał skarb swój w ziemi, został ukarany za lenistwo i bojaźń. Jego jedyny talent został mu odebrany.

Z przypowieści wynika, że uczucia winny być rozdawane ludziom i pomnażane w kontaktach z nimi, bo tylko wtedy czeka wspianiała nagroda w Niebie. Ukrywając je, odsuwając się w rozgoryczeniu od ludzi podmiot liryczny zachowuje się jak trzeci sługa. Wyrzeka się daru, który otrzymał od Boga. Chce Mu go oddać i w ten sposób uzyskać zapłatę „wraz z lichwą”. Szczerze jednak wątpię, czy jest to sposób życia podobający się Stwórcy. Nie miłując bowiem bliźniego łamie się najważniejsze przykazanie dane człowiekowi. Wydaje mi się w świetle moich rozważań, że podmiot liryczny ma przed sobą jeszcze długą drogę do zysku, który sobie wymarzył, bo otrzymać go może dopiero wtedy, gdy przestanie o niego zabiegać.

Mimo wielu aluzji autobiograficznych autor nie wydaje mi się jednak tożsamy z wykreowanym podmiotem lirycznym. U obu wyraźnie zaznacza się poczucie bezsensu swej młodości, rozczarowanie nią, świadomość porażki w kontakcie ze światem, ale jednocześnie widać nadzieję, że życie doczesne nie jest jedynym wymiarem ludzkiej egzystencji. Jednak w przeciwieństwie do podmiotu lirycznego wiersza pt. „Żal rozrzutnika”, Mickiewicz, którego poznałem w innych jego dziełach, przez całe swe życie kochał innych, choć dobrze wiedział, że nie jest rozumiany i może nigdy nie będzie. Nie oczekiwał tego i nie próbował nawet o to zabiegać. Radość pogłębionego życia wewnętrznego, jakim owocuje miłość, była dla niego wartością samą w sobie. W młodości silnym uczuciem darzył Marylę Wereszczakównę i choć został odtrącony, nigdy nie przestał jej kochać („Do M.”, „Na Alpach w Splügen”).

Mickiewicz kochał także Polskę. Mimo że była poniżona i upodlona, nigdy się jej nie wyrzekł. Wręcz przeciwnie. Wydaje się, że pomnażane przez historię cierpienia rodaków wzmacniały siłę jego miłości. A to, czy znękany naród zareaguje na jego dzieła zachwytem i uwielbieniem, nie miało większego znaczenia. Choć oczywiście marzył o tym, by jego miłość do Polski przetrwała w sercach następnych pokoleń Polaków i pomnażała się w kontaktach z jego dziełami. W „Epilogu” do „Pana Tadeusza” pisał:

*O, gdybym kiedy dożył tej pociechy,  
by moje księgi zbłądziły pod strzechy,  
Żeby wieśniaczki kręcąc kołowrotki,  
gdy odśpiewają ulubione zwrotki [...]  
gdyby też wzięły na koniec do ręki  
te księgi proste jako ich piosenki!*

Ale tworzył mimo wszystko i borykając się na emigracji z licznymi problemami życiowymi (brak pracy, ciężka choroba żony) w każdym kolejnym utworze dzielił się z innymi swoim uczuciem do Polski. A zatem sam Mickiewicz pomnożył swój talent jak najbardziej zapobiegliwy ze sług Pana. W jego życiu nigdy nie brakowało sensu, zawsze miał po co trwać i tworzyć. Zawsze w pełni, bez chłodnych kalkulacji, wykorzystywał swoje serce poprzez ofiarowywanie go ludziom.

Nie wiem, jak potoczyły się jego rozrachunki z Panem w zaświatach, choć „Przypowieść o talentach” wydaje się na to pytanie odpowiadać. Wiem, że tu — na ziemi — jego dar nie został odtrącony. A „inwestycja”

w serca następnych pokoleń wciąż pomnaża włożony przez niego „kapitał miłości”.

## Korespondencja z Pekinu

Piotr Karpiński, kl. 4c

### 25 października

Tu jest bardzo zimno. Ja się jednak nie daję. Już za tydzień mamy małą sesyjkę. Muszę się przyłożyć. Sądziłem, że wielkich postępów nie robię, ale postęp musi być skoro oglądam + czytam filmy na DVD rozumiem 90 procent dialogów!!!?

Kolega w Nankinie ma mi kupić aparat Olimpusa z zoomem za około 150 dol. Laptopów nie widziałem. Fakt, że wiele po takich miejscach nie łązę. Wybadam, ale nie liczcie na wiele. Aż taki raj to nie jest. Jednak głównie produkuje się taniochę. Sam znam z dziesięć większych stadionów dziesięciolecia. Sprzedają głównie badziewie.

W ambasadzie powiedzieli mi, że odpowiedź dostanę po 4 listopada. Pani, która mnie o tym informowała (pracowałbym głównie dla niej) powiedziała, że szanse są niemałe. Ale skądinąd wiem, że ona nie lubi przynosić złych wieści... Trzeba czekać, a szkoda, bo przez to nie mogę ruszyć innych pomysłów, jak chińska polonistka — mógłbym robić za polskiego nativa, szkoła podstawowa — mógłbym robić za angielskiego nativa, albo nowość — malutka na razie szansa pomagania koledze-przewodnikowi. Przejechałbym wtedy Chiny aż po Hongkong. Marzy mi się.

Rzeczy te jednak (wszystkie wliczając ambasadę) są wyłącznie szansami, niestety wzajemnie się blokującymi. Nic. Oby cokolwiek wyszło. Niemniej jednak pomysły mam.

O właśnie, mam kilka tematów na artykuły do poważnych gazet, np. o podróży drużyny piłkarskiej KRLD, która w środku zimnej wojny w 1966 roku doszła do ćwierćfinału Mistrzostw Świata. Ale historia!!! Zresztą ona byłaby wyłącznie pretekstem do opisanie czegoś dobrego, co się nieustannie dzieje na naszej planecie pomimo najróżniejszych durnych „osi zła”. Zostało to nazwane symbolicznie piłkarską dyplomacją ping-pongową. I pokazuje oddolną siłę dążenia do pokoju i współpracy, która tkwi w różnych narodach. Siłę, której fachowcy — politycy nie potrafią nawet zauważyć. A co dopiero zagospodarować i rozwinąć.

Ale nie przejmujcie się. Nie wszystko zależy od nich. Choć lubią tak udawać, kiedy kreują swój wizerunek w mediach. Chciałbym też napisać o pierwszej komercyjnej kolei magnetycznej, którą otworzą w Szanghaju, a na którą nie było stać Niemiec ani Japonii — artykuł byłby o gigantomanii i o rządzeniu zasobami społecznymi na zasadzie „zastaw się a postaw się”. Jak to brzmi? Dosyć swojsko. Wolałbym, żeby pod tym względem Polska była bardziej europejska niż azjatycka. Nie ma absolutnie żadnej możliwości, żebym przyjechał na święta. Musiałbym wracać na sesję w pierwszych dniach stycznia. Nankin to nie Pekin. A niech Michały nie mówią, co jest NA PEWNO możliwe skoro ktoś tam dwa lata temu coś tam. Przecież na całym świecie nie ma lepszego miejsca na spędzenie świąt Bożego Narodzenia niż dom rodzinny... Bardzo tego żałuję. Całuję Was wszystkich mocno. Piszcie, bo cieszy mnie to bardzo.

P. S. Ups, przegapiłem najważniejsze zdanie w historii artykułu z tymi Koreańczykami. To było tak, że w środku zimnej wojny w 1966 roku doszli do ćwierćfinału Mistrzostw Świata, a w październiku przyjechali z wizytą wspomnieniową do miejsc, gdzie toczyły się mecze. Mam tydzień do decyzji MSZ. To dopracuję. Jak mnie zachęcicie. Zdrówko.

Autor jest absolwentem „Kołataja” z roku 1997. Ukończył Wydział Stosunków Międzynarodowych na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie studiuje sinologię.

## Już tylko wanna

Lukasz Kaczmarczyk, kl. 4c

Scenariusz filmowy — fragmenty

### Scena I

*Łazienka. W wannie kilkunastoletni chłopak. Zanurza się pod wodę i wstrzymując oddech pozostaje pod jej powierzchnią przez jakąś chwilę. Wynurza się.*

Eureka!!! Wiem, wiem, wiem! Już wiem... Tak... hmmm... Contra spem spero! To chyba to jest źródłem natchnienia, tą mąką, z której da się upiec bochny chleba będące w stanie nakarmić swym dostatkiem głodne i zagubione dusze. Może to ja dam im wiarę w lepsze jutro, pozwolę znieść cierpienia, jakie ciągnie ze sobą ten zeszmaciały świat, okruch zakalca boskiego? A czymże ja jestem wśród tych ciał przepelnionych zgniłymi wartościami? Kolejnym frajerem, który nadział się na pułapkę rzeczywistości i dał się omamić złudnymi słowami coraz to większej rzeszy nieświadomych antychrystów? Czy może formą remedium, która będzie w stanie przywrócić uśmiech dzieciom, pozwolić odpocząć spracowanym matkom i przywrócić zapomniany już porządek świata? Nie wiem... a nawet jakbym wiedział, cóż by to zmieniło? Przecież nic nie jest pewne i jednoznaczne, dobre lub złe. W ogóle, co to znaczy, że coś jest dobre? Kto ustalił te kanony i zmusił nas do ich przestrzegania? To chyba jakiś egocentryk. Zresztą wszyscy jesteśmy po części egocentrykami... żyjemy sobie tylko w landrynkowym zakłamaniu, myśląc, że jesteśmy szlachetni, prawidłni, dobrzy dla innych. Jednak na większość spraw patrzymy przez pryzmat korzyści własnej... Takie już z nas ścierwa, lecz cóż poradzić... Sam nie zmienię nic... Nie jestem w stanie... Po prostu się boję a ten strach mnie przerasta, paraliżuje, odbiera chęć do działania... Staję się obojętny na cierpienie i niepowodzenia innych. Do czego to doszło? Kiedy to się stało? W imię czego pytam?!

*Zanurza się ponownie. Odjazd kamery z łazienki.*

### Scena II

*Najazd do pokoju. Pomieszczenie jest dosyć małe, panuje w nim lekki nieład. Bohater leży pod kołdrą. Zbliżenie na jego twarz. Chłopak budzi się nagle, jakby czymś przestraszony. Potrząsa głową, jakby nie wierzył w to, że osadzony jest w rzeczywistości tu i teraz. Ociera spoconą twarz i leniwie wstaje z łóżka. Idzie do kuchni i nalewa sobie wody do szklanki. Nagle mdleje, szklanka wypada mu*

*z rak i rozbija się na podłodze. Zbliżenie na twarz nieprzytomnego. Po chwili bohater otwiera oczy.*

No właśnie... Kto jest w stanie wyjaśnić mi tę odwieczną zagadkę? W imię czego wstajemy każdego dnia z jakimś nastawieniem do życia, raz gorszym raz lepszym. Dlaczego nie zawsze budzimy się weseli, chętni do pomocy bliźnim, skorzy dzielić się z innymi tym, co mamy? Dlaczego nie głosimy radosnego słowa tylko sprzedajemy innym skrawki, ochłapy wyznań naszej żalostnej osobowości?.. Te resztki nas, o których chcielibyśmy zapomnieć? Czy to normalne? Jeśli tak, to dlaczego nie możemy się z tym pogodzić? A przynajmniej ja — zagubione dziecko wszechświata... Trzeba coś z tym zrobić. Naprawić te błędy, przestać żyć w zakłamaniu, że będzie lepiej. Musimy wziąć świat w nasze ręce i od nowa go zbudować.. Tak to chyba to jest tym natchnieniem... A co z ciszą? Czy raz zakłócona na pewno nie pozostanie absolutna? Mam taką nadzieję, ponieważ, gdyby to też nie było prawdą, cała budowla mojej jaźni skonstruowana z uczuć, pragnień, marzeń, wspomnień i rozmazanych ludzkich twarzy runęłaby w przepaść zapomnienia... Stałaby się suchą wodą w tabletkach, zimnym niczym zabójca wrzątkiem lub też cnotliwą panią lekkich obyczajów...

*Ponownie zamyka oczy.*

### Scena III

*Ta sama twarz z zamkniętymi oczami. Słychać telefon. Chłopak z trudem podnosi się i podchodzi do słuchawki. Patrzy na zegarek, chwilę się zastanawia, jednak postanawia odebrać.*

— Tak słucham... Halo... Halo... Kto mówi?... Proszę się przedstawić albo rozłączyć! Jaki ja... Człowieku, nie rób sobie jaj, bo się natniesz! ... Nie mów do mnie dziecko, jestem już dorosły! To ładnie masz w bani... Ty, idź na Sobieskiego wytrzeszczu i nie strugaj sobie ze mnie żartów, dobra... O czym ty bredzisz?... Nie mów mi, żebym był spokojny, bo to ty powodujesz, że zaczynam tracić cierpliwość... Słuchaj... albo ci się z kimś pomyliłem i nie czuję twojego żartu, albo to z tobą coś nie halo... Jaka kłątwa ... o czym ty mówisz ... dosyć tych żartów, bujaj się!

*Rozłącza się i wchodzi do łazienki.*

### Scena IV

*Bohater staje przed lustrem i obmywa twarz zimną wodą.*

— Boże! co się ze mną dzieje?... Najpierw ten głupi sen, potem...

### Scena V

*Znowu słychać dźwięk dzwonka telefonu. Bohater pośpiesznie wychodzi z łazienki sięga po słuchawkę i nerwowo rzuca:*

— Nie dzwoń tu więcej, buraku, bo jak Bóg mi świadkiem... Oooch, nie, nie, mam, to nie do ciebie, przepraszam. Dzwonił jakiś idiota i podawał się za Boga! Przepraszam strasznie mnie zdenerwował, rozumiesz...



jeszcze raz przepraszam... Nie, dzisiaj jest sobota, nie ma szkoły... Na pewno... mhm... mhm... Dobrze powiem mu... mh... dobra, nie ma sprawy... No, ja też cię kocham... pa.

*Odkłada słuchawkę, wchodzi z powrotem do łazienki... napszcza wody do wanny pogwizdując przy tym. Drapie się w głowę. Nagle dzwoni domofon.*

## Scena VI

— Tak, siema, wejdź.

*Otwiera drzwi. Ukazuje się w nich jego rówieśnik — krępy szatyn o twarzy milej, ale z wyrazem lekkiego ośpienia.*

— Wejdź, wejdź... idź do pokoju... ja zaraz przyjdę, woda mi się przeleje...

Gość siada na krześle przy biurku, wodzi wzrokiem po pokoju. Słychać głos bohatera dobiegający z łazienki :

— Napijesz się czegoś?

— A co masz?

— Może być browar albo woda...

— A, daj browara, suszy mnie trochę.

— Się robi, szefie. A co, pobalowałeś wczoraj z deczka?

— Ta... Ciotka miała imieniny i wiesz, wujek jak się dorwie, to jak głupi do sera, a że siedziałem najbliżej... Sam rozumiesz...

— Proste. Poczekaj chwilkę, zaraz wrócę z apteczką... Dobry klinik nie jest zły!

*Idzie po piwo, przynosi dwie butelki, otwiera je zapalniczką, jedno wręcza koledze, z drugiego ściąga porządny łyk i wzdycha.*

— Słuchaj, coś się ze mną dzieje, śnią mi się jakieś dziwne rzeczy, budzę się spocony i rozdarty wewnętrznie, szumi mi w głowie i chce mi się rzygać, a do tego wydzwania do mnie maniak z kompleksem i podaje się za Boga... Rozumiesz coś z tego?

— Masz moralniaka.

— Że niby co?

— Swasta, po prostu rozkminiasz sobie niepotrzebnie to, o czym nie powinienesz w ogóle myśleć, rozumiesz?

— Nie, nie za bardzo...

— Aj tam, to proste... Słuchaj. Myślisz za dużo i o zbędnych rzeczach! Daruj sobie, uspokój się i wrzuć na luz, młody jeszcze jesteś, nie? Kapujesz?

— No coś tam powoli do mnie dociera, ale to dopiero jakiś zarys. Widzę tylko kontury Anioła Zbawienia...

— O czym ty mówisz? Jakiego anioła? Człowieku, przestań filozofować, tylko znajdź spokój ze swą duszą! Zrelaksuj się, odpocznij, nie myśl tyle do cholery, bo się spocisz!

— Nie umiem, w mordę! Nie rozumiesz?!!! Nie umiem nie myśleć!!!... Zresztą, kimże bym był, jakbym nie myślał, aaa? Kim? Powiedz!!!

— Byłbyś normalny jak my wszyscy, po prostu byłbyś człowiekiem... Takim samym jak ja, moi znajomi czy też ich kumple, byłbyś sobą... Standardowym egzemplarzem ludzkim.

— No właśnie!!! A ja mam gdzieś standardy!!! Nie rozumiesz?! Moja matka to nie fabryka mebli, a moja skóra to nie welur! Nie jestem standardowy!!! Nie pojmujesz?! Nie chcę ginąć w tłumie, stać się szary, tuzinkowy... Chcę karmić umysł literaturą, konwersacją, obcowaniem z przyrodą a nie...

*Nagle widzi wykrzywioną pobłażliwym uśmiechem twarz kolegi i zniechęcony zmienia ton.*

— Zresztą... Po co ja to mówię?! Co ty możesz o tym wiedzieć, szaraczku, psi śwedzie, ty motyli wypłochu... Co ty wiesz o życiu? Przecież ty się jeszcze nawet nie urodziłeś, jesteś larwą, wegetujesz... Jak całe miasto... Otwórzcie oczy, tumany! Nic jeszcze nie widzicie?! Nie, to przecież jakiś koszmar, paranoja... Dlaczego, po co, z kim i przez co? Pytam się, przez co?

*Patrzy chwilę na rozbawionego jego irytacją gościa.*

— Przecież ty nawet nie wiesz, o czym ja mówię, prawda? Wyjdź i nie pokazuj mi się na oczy... Szkoda mi cię, naprawdę.

— Wiesz co, idź lepiej do lekarza. Z tobą coś nie tak! To jednak coś więcej niż zwykły moralniak...

— Precz!!!

*Gość wychodzi ze zdziwioną miną, do końca nie wie, o co chodziło.*

## Scena VII

*Bohater wraca do łazienki, siada oparty o ścianę, zwija się, obejmuje rękoma kolana. Zapłakany głosem rozkapryszzonego dziecka konstatuje:*

— Niewiedza to błogosławieństwo!

*Wchodzi do wanny, zanurza się pod wodę i wstrzymując oddech pozostaje pod jej powierzchnią przez jakąś chwilę. Wynurzając się, mówi wyraźnie pocieszony:*

— Ten Archimedes to miał rację! Gdyby nie wanna, człowiek by zvariował z tymi burakami! A co mi tam! Contra spem spero!!!

Autor jest absolwentem Kołłątaja z 2002 roku. Obecnie studiuje w Kolegium Języka Niemieckiego